

Archaeologia

Pismo katastroficzne nr 23–24/2008

WIERSE

Narcyz z biletem w kieszeni

Vacancy in the Park

Wallace Stevens

Cała ta wilgoć, gdy Narcyz idzie
przez umięśniony zmierzch.
Podświetlone szkielety
i ani jednej kałuży,
w której mógłby sprawdzić.

Czysty monitor czy bezludny asfalt?
Aleja. Pełno znaków, żadnego słowa.
Ponoć Rzymianie nie mogli ścierpieć
światła między jednym a drugim wyrazem
i zapelniali pustkę kropkami, krzyżykami.
W jednym mgnieniu oka otwiera się przepaść,
w drugim – zawisa nad nią most.
Zza rogu wynurza się wyspa,
turysta z olbrzymim plecakiem.
Przestrzeń to gniazdo, na przykład
w konarach parkowego klonu
albo w kafejce dwie przecznice dalej.
Narcyz odchodzi, powraca, krąży.

Kołysanka w południe

Odpowiedni instrument: rybi szkielecik,
serce z połyskiem jak broszka, głowa
czyli łeb, w nim strudzona mrówka,
czarna sekunda w wybielony dzień.
Choć niesłyszalna, muzyka
wypełnia nas jak piasek bagaż.
Dziecko w tym tonie, dobrze,
że woda też jest dzieckiem.

Kołyszą się kobiece piersi,
gdy chłopiec ujeżdża falę,
kołysze się próżna butelka,
biodra, ramiona, kołysze się
święty nad głową kierowcy,
kiedy gna ku trzeciej części świąt.

Opowiedz mi o swojej rodzinie.
Nie opowiem ci o swojej rodzinie.
W brzuchu noszę harcerzyka. Dożyć?
Ze wszystkich krewnych najlepiej
miewa się mewa.
Rządzi za smaźalnią, gdzie pyszny śmietnik.
Śmieje się, też jest dzieckiem.

Kołysanka poranna

Ma dla mnie osiemdziesiąt parę lat, a dla ciebie?
Bardziej pogodny niż sierpień na wybrzeżu,
z pamięcią gładką jak uda kelnerki,
która nie czeka na zamówienie
i przynosi to, co zwykle. Nie trzeba języka,
jeszcze jedno słowo na murze,
a budynek się rozpadnie i powróci w piasek.
W szeleście serwetki słychać liście figowca,
zmęczone zaklęcie, prośbę o urodzaj.
Uśmiech starca zwrócony do nikogo,
niech mi towarzyszy, niech mi towarzyszy.

Kołysanka z otwartymi oczami

Obraz staje się światem dla zagapionego,
który szwenda się w powszedni wieczór,
jakby szukał jedyne miejsce
w podejrzanym kinie.

Cień przerasta domy, na progu ciała
powitanie bohatera walk o mimowolność.
Spóźniony oddycha zapachem obcego potu,
potrąca kośćmi cudze.

Więc jesteśmy rodziną: ktoś komuś
napęnia szklankę pragnieniem,
któs dopisuje głód do czyjeś chleba.

Co byś powiedział o spacerze po wodzie,
któs pyta i nasłuchuje.
Mgła, dym z ust. Twarzowe rżysko.

Kołysanka dwustronna

Pytam, dlaczego nie pytasz,
od pytań o ból podobno mniej boli,
a cierpienie podzielone na porcje
wystarcza na dłużej. Usiadłaś przy mnie,
przez chwilę byłem specjalistą,
a gdy odchodzisz, zostaje amator,
poci się i duka, każde słowo
to trudny fachowy termin.

Pod słodkim śniegiem sufitu
coraz mniejszy idę czyli leżę,
więc znikam? Śmieci na wysypisku
równie nieruchome i żywe
patrzą w niebo, tajemnice produkcji.
Ciszej czyli czulej? Tak blisko,
że zbędny naskórek. W opakowaniu
wiadomość: zostaw wiadomość.

Kołysanka w drodze

(1) Żeby nie ruszać, dać ostatni łyk,
potem się odwrócić, ale zostać.
I że tyle obecności, co w rubryce:
znaleziono, zgubiono, w pościeli,
w paczuszce pod głową. I jeszcze:
posprzątać dokładnie, wybierać,
zagrabić, jakby się zacierało
witką ślady na bezludziu.

(2)
Jedną tutaj, drugą po tamtej stronie.
Ani słowa o skrytym pod darnią wyjściu.
Poczekaj, złapię oddech, dogonię to,
co świeci. Wygląda na bezsenną lampkę,
ale domu nie ma. Okno błysnęło
jak rybia skóra na dnie,
ściany wątle, odpływają. Drzwi.

(3)
Tędy, wciąż prosto. W plastikowej folii
domy, wielkie upominki bez okazji,
od nikogo dla nikogo. Nocna zmiana
w wykopie, grzebią czyż sen?
Kostki rusztowania, niebo pocięte równo.
Nad ranem tańsze, sprawiedliwe porcje.
Przechodzenie z samym sobą na ty.

Kołysanka na boku

Od tylu lat nie jestem chłopcem.
ale nie zdążę stać się mężczyzną,
stać na baczność jak klon w parku,
odpowiadać, odpowiadać, odpowiadać.

Pięć dni padało, szóstego szukam
okularów w kałuży, w rowie.
Co cię nurtuje, wodo,
czy jesteś wyczerpana, pytam,
a na głowie ląduje mi wieczny pająk.

Butwieje pod butem ostatnia zieleń.
Czy barwa ziemi coś oznacza?
Strach deptać. Wrzesień,
znów jestem uczniem pustki.
Siewki na polu, gromadzą się znaki.
Wprowadź hasło, wprowadź

Kołysanka w słońcu

As if, awake, we lay in the quiet of sleep...

Wallace Stevens

Kołysze, chociaż samolot wylądował
dawno temu. Szybko jak sekundy
liczę lata, mierzę głębokość snu.
W środku dnia niewiele da się ukryć.
Kobieta przede mną idzie ostrożnie
jakby dźwigała uśpione niemowlę.
Moje plecy. Dla kogo są tarczą?
Kołyszę się, kołyszę jak łódka,
a ciemność pode mną jest Gopłem.
Z brzegu głosy: zasnął,
choć myślałem, że nie żyje,
martwy, a wygląda jakby spał.

Mężczyzna, który połknął klucz

(1)

*Is the spot on the floor, there, wine or blood
And whichever it may be, is it mine?*

Wallace Stevens

Dojrzałe kurczy się i ciemnieje,
kiść podobna do starej szmaty.
Dionizos ocknął się i zmienia kanał.
Resztką wina świeci w szklance,
a we mnie zabłysnęła zieleń.
Obdarzony ruiną, a ona mchem
i chwastami, które sięgają do ust,
składałam zdanie, zaczyna się
od nie wiem. Rytm, rytm, stukot

twoich kamiennych buciaków:
wracasz, żeby odejść. Z dołu dziecięce:
supremum vale, supremum vale.
Pachnie jedzenie, potrawka z serc.

(2)

Em tudo quanto olhei fiquei em parte.

Ricardo Reis/Fernando Pessoa

Nic z tego. W windzie sztyldzik: 8 pessoas.
Zgubiona litera? Które piętro? Kto jest nim?
Pamiętam, że wysoko mierzyłem
portugalskie słowa, rozumiejąc z nich
Nic. Zapach wody kolońskiej, Atlantyku
i świeżych ryb. Przed końcem, właśnie
– przed – znikają poeci, zostaje jedyny,
a potem dryń! i napis: stop. Po chemii
bywa ciut lepiej, ale wygrywa biologia,
a nawet wuf: szcztokowane boisko,
swojski smród szatni. Gryzmoły, cyferki
zapomnianych numerów. Narcyz udaje,
że wie co i jak, wpatrzony w siebie,
jakby golił martwą twarz, ale wsłuchany
w Echo. Moja kochana, jesteś głosem,
co powtarza miłość, aż na talerzu
pojawia się samotna ość. Wyżej jedziemy
i wyżej. Strach, zagracony strych w hotelu.

(3)

—light in a mirroring of cliffs

Wallace Stevens

Rzeźba walnięta w zielsko,
kiedyś ciągnęły się tędy rabaty.
Pół twarzy z gładkiego piaskowca,
usta były tutaj, o, właśnie tutaj.
Jedno oko wlepione w mdłe
słońce, drugiego nie widać.
Razem z siostrą dżdżownicą
i bratem winniczką
pełźnie mech. To ja,
szepcze głowa, moja
i skamieniała, niknąca
pod świerkiem.
W kałuży, spróbuj w kałuży,

w pustym uchu Narcyza
głos Morfeusza.

(4)

Women become

The cities, children become the fields

And men in waves become the sea.

Wallace Stevens

Jakbyśmy się znali, choć nie wiem skąd.
Ze snu, który wciąż jest mądrzejszy
od najnowszej literatury? No, tak,
prawdzie sen nie umie się zachować
w zacnym gronie, chłepcze łyżką
wódke, piwo zajada widelcem,
ale w srebrzystym audi
nawet barbarzyńca błyszczy.

Naprawdę? Nieprawda? Prawda?
Kto na nią głośnie, temu wszystko
jedno. Przez *wszystko* rozumie się
senność: nudny malunek na ścianie
świętej rudery, który musimy
podziwiać ze szkolną wycieczką.

Jakbyśmy się znali od zaraz: pamiętam
twoje piersi smakowały bosko,
choć się nie przemieniłaś w jabłoń.
Imiona rodziców: rzeka, sad.
Metamorfozy myślę z czymś
bliższym w czasie i przestrzeni:
plamy wątrobowe na skórze
tworzą mapę. Tu się spotkamy
albo tam. Tłumaczenie własne.

(1)

No, to znalazłeś wreszcie swój czarny przedmiot, twardy jak zabytkowa landrynka. Dzieci w barwnych strojach żałobnych pewnie ci zazdroszczą, nawet starszaki po pięćdziesiątce. Teraz zachciewa ci się własnych mgieł, żeby wykroić z nich zgrabną niepewność, gdy nie wiadomo, czy chleb zapleśniał, czy da się zjeść. Są wątpliwości, co do mięsa, wina, wody.

Czarny przedmiot zastępuje ci ciemność wygaszonych wnętrza, szaf i szuflad, gdzie śmierdzą za ciasne buty, bezprzedmiotowe rzeczy, zbędne drobiazki, których szkoda wyrzucić. Czerń wyszczupla. Jest szansa, że wkrótce nikt nie zdoła cię dojrzeć gołym okiem. Ciało znika jak befsztyk z talerza w niedzielę. Minerale pracują trochę głębiej.

(2)

Zamiast tępego urzędnika, wita mnie bohater co wyszedł z podziemia, które ma zapach denaturatu do powielaczy. Zamiast kasjerki, resztę wydaje miss uniwersytetu, morowa panna sanitariuszka. Urządzenie powinno działać, pociesza: dożyjesz na pewno śmierci, ale czasem strajkuje. Wtedy niech państwo stukną nie za mocno w plecy lub zbrójmy się w cierpliwość. A za Polską tęsknisz, czy już nie jesteś Polakiem, takie bolesne pytania, a na sali nie ma lekarza i kończą się tabletki.

(3)

Smutno dziecku, czy udaje, że jest bardziej smutne niż mamusia i tatuś oraz wszyscy śnięci krewni. Oj, tylko bez krwi, bo robi się niedobrze. Wysmażony. Dobrze? Kojarzę czerwień z zachodem słońca. Obóz wędrowny, ale dokąd idziemy i po co, nie pamiętam. Na przełaj przez świat

młodych, zdrowych i pięknych, super.
Błąd genetyczny, a taki płacz,
że normalnie śmiech, że nie wiem.
Władza nabyta i już wygraża paluszkami.
Płatne kartką niezapisaną, ciałem,
tajemnicą spod tapety skóry.

Cień w cień

Nocna pojedynczość do wytrzymania,
niewidoczny marzy, że jest niewidzialny,
a imiona, pseudonimy i ksywki to gruz
albo szlam, jeśli to, co się rusza, jest rzeką.

Puszczyk nieruchomieje przed atakiem na uliczną mysz.
Spokój, wielkie nierozpakowane skrzynie, ich zawartość
to wieści bez adresata, ludzki cień i światło latarni
we wspólnocie, która nie potrzebuje człowieka.

Jest piąta nad ranem, cień wraca z nocy. Zamiast domu
zastaje hotel. Bezwietrznie, przymrozek. Język się śmieje.
Kierowca śni koniec drogi, pasażer jak kamień.
Nie taki sen rzeźbi dłuto krwi. W izolacie
siostra pochyłona nad kimś, sprawdza, czy już.

Posiłki

Przeciek

Ucieka, czy kogoś goni, trudno zgadnąć.
Bardzo zajęty, między jedną miłością a drugą
tyle jest spraw do załatwienia.
Na kartce przybywa zdań, nagrobki
rozmnażają się po cmentarzach.
Mówi do cienia: prowadź, przyjacielu,
w zarośla nad rzeką albo prosto w nurt,
niech pozostaną sylabą w ustach wirów.

Jeden robi sobie fajrant i drzemie przez chwilę
pomiędzy jedną a drugą katastrofą.
Dom martwieje jak gość, który z pacierza pamięta
tylko amen, gość, co się zasiedzia! na amen.
Budzi go mysi chrobot, jakby igła sejsmografu
tatuowała ostrzeżenie na skórze. Pod ścianą
nie ma ściany, cumuje pijany prom, samolot
ląd!uje w kącie. Za dużo snów, przepraszam, słów,
dlatego ciasnota, brakuje miejsca na zwykły mrok.
Zgaś, szepcze lampa, jeśli się wsłuchać.

Posiłek po zachodzie

Proza poetycka potrafi lepiej unieść
ciężar kon!retu niż wiersz, twierdzi Bly.
Gdy patrzę na ciebie, widzę konstrukcję
z mięsa, kości i skóry. Kaleczysz się
przy patroszeniu ryby, a ja nie odróżniam
jednej krwi od drugiej. Na kuchennym stole
pęcherz pławny lśni jak gruda srebra.
Przez moment jestem tobą, nożem i rybą.